

Alan Ball

DRUHNÝ

(„Five women wearing the same dress”)

Przełożyła Rubi Birden

AKT PIERWSZY

Akcja dzieje się w sypialni Meredith, siostry panny młodej.

Duży, wygodny pokój w bogatym domu. Wielkie mosiężne łóżko przykryte narzutą sięgającą ziemi. Toaletka z lustrem. Drzwi wejściowe, drzwi do łazienki, drzwi do garderoby. Okno.

FRANCES: *(pukanie, z offu) Uu-uu...(Po chwili pukanie się powtarza, tym razem nieco mocniejsze. Z offu) Jest tu kto? (pauza, potem powoli otwierają się drzwi i wygląda zza nich Frances.) Meredith? (Frances ma dwadzieścia jeden lat i słodką twarzyczkę. Ma na sobie drogą sukienkę drużny, bez ramiączek z gigantyczną spódnicą, brzoskwiniową, wrzosową albo w jakimkolwiek tego typu paskudnym weselnym pastelowym kolorze. Oprócz tego ma udziwniony kapelusz i bukiet. Nieśmiało wchodzi do pokoju, zamyka za sobą drzwi, porusza się sztywno, jakby sukienka ją onieśmielała, co bez wątpienia ma miejsce. Zauważa pudełko na biżuterię, stojące na blacie toaletki, otwiera je i ogląda zawartość). O jejku... (wyciąga z pudełka mieniącą się kolorami bransoletkę z kryształu górskiego, trzyma ją delikatnie, prawie z nabożeństwem, zakłada ją sobie na nadgarstek i zapina. Odgina rękę i podziwia bransoletkę w lustrze, robi pozy, które według niej mają być szlachetne).*

MEREDITH: *(z offu) Mamo, ja po prostu idę na górę... (gdzieś w pokoju zaczyna dzwonić telefon. Z offu) Nie odbieram. (zaniepokojona Frances zaczyna walczyć z bransoletką, której nie może rozpiąć. Słychać, jak Meredith wchodzi po schodach. Z offu) O nie, nic z tego, nie odbiorę. W ten sposób się ze mną nie dogadasz. (Meredith jest bliżej, Frances wpada w panikę. Nie mogąc odpiąć bransoletki, szuka po pokoju miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Wczołguje się pod łóżko dokładnie w momencie, w którym Meredith z impetem otwiera drzwi i wchodzi. Meredith ma dwadzieścia dwa lata. Jest wysportowana. Pod czarną skórzaną kurtką motocyklową ma na sobie dokładnie taką samą sukienkę, jak Frances. Wygląda na wkurzoną. Ma też taki sam kapelusz i bukiet. Przez ramię ma przerzucony sfatygowany plecak, na nosie ponure okulary przeciwsłoneczne. Trzaska za sobą drzwiami, zamyka je na klucz. Wpatruje się we wciąż dzwoniący telefon, marszczy brwi i podnosi słuchawkę) Co znowu, mamo? Chcę zostawić moje graty. O nie, nie, dzisiaj nie masz prawa wstępu do tego pokoju. Mamo. Pa. PA! (odkłada słuchawkę, zrzuca szpilki idealnie dobrane do sukienki, ciska*

plecak na łóżko i podchodzi od razu do toaletki. Bierze pudełko na biżuterię i grzebie w nim. Cholera jasna! (przeszukuje rzeczy leżące na toalecie) No nierealne! (podchodzi do łóżka, podnosi narzutę, klęka i sięga ręką pod łóżko. Krzyczy) Kto tam jest?!

FRANCES: *(spod łóżka)* To tylko ja. *(Frances gramoli się spod łóżka, ukrywa rękę z bransoletką za plecami. Słodko)* Cześć.

MEREDITH: Frances, co ty do cholery wyprawiasz?

FRANCES: No wiesz, na dole jest mało ludzi i nie ma nikogo, kogo dobrze znam, no poza Mamą i Tata, i Wujkiem Reecem, i Ciocią Kitty, no to... Chyba po prostu szukałam jakiejś przyjaznej twarzy. *(śmieje się nerwowo)*

MEREDITH: Pod moim łóżkiem?

FRANCES: Nie, ja... no, kiedy usłyszałam, że wchodzisz, przeraziłam się, zdałam sobie sprawę, że w ogóle nie powinno mnie tu być. Próbowałam się przed tobą schować. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

MEREDITH: *(wpatruje się w nią)* Taa, jasne. *(wyciąga spod łóżka plastikową skrzynkę i zaczyna w niej grzebać)*

FRANCES: *(walczy z bransoletką za plecami)* Ten pokój jest taki śliczny. Pamiętam, jak do was przyjeżdżaliśmy, kiedy byłam mała, jeszcze Tracy tu mieszkała. Ty i ona, i cała reszta kuzynów urządzaliście sobie przyjęcia w domku w ogrodzie, a ja zakradałam się tutaj, siadałam na środku pokoju i udawałam, że jest mój. Ja ją po prostu ubóstwiałam. Tracy.

MEREDITH: Ty i cała reszta. Z nią samą włącznie.

FRANCES: To dlatego byłam taka przejęta, że będę na jej ślubie. *(Meredith nie może znaleźć tego, czego szukała, wpycha skrzynkę z powrotem pod łóżko i jęczy sfrustrowana)*

MEREDITH: Gdzie to do diabła jest?

FRANCES: *(nerwowo)* A czego szukasz?

MEREDITH: Próbuję znaleźć skręta, którego miałam zachomikowanego na to wesele.

FRANCES: Skręta?

MEREDITH: Pamiętam, że miałam jednego w pudełku na biżuterię i jeśli Tracy mi go zwędziła, to by było bardzo w jej stylu.

FRANCES: Na pewno by czegoś takiego nie zrobiła!

MEREDITH: Na pewno by zrobiła.

FRANCES: *(zszokowana)* Narkotyki? W dniu jej własnego ślubu?

MEREDITH: Zwróciłaś uwagę, jaka jest dziś spokojna? Jaka łagodna? A była kłębką nerwów od tygodni. Musi być ujarana. *(łapie swoje odbicie w lustrze)* O Boże. *(zdejmuje kapelusz)* A potem uparła się, żebyśmy nosiły te koszmarnie... rzeczy na głowie i wyglądamy jak te kretyńskie fruujące zakonnice z serialu...

FRANCES: Mnie tam się podoba ten kapelusz.

MEREDITH: Mówisz poważnie? Weź się przejrzyj, wyglądasz idiotycznie.

FRANCES: No...

MEREDITH: Wyglądasz jak lampa. Ty przynajmniej możesz nosić tę sukienkę, ja wyglądam w niej jak w stroju do futbolu. *(Meredith przygląda się sobie krytycznie w lustrze, marszczy brwi i wyciąga paczkę papierosów ze swojego plecaka)* Chcesz?

FRANCES: Nie, dzięki. Nie palę. Jestem Chrześcijanką.

MEREDITH: *(grzebie w plecaku)* Oczywiście, jakże by inaczej? Teraz nie mogę znaleźć zapalek. *(idzie do łazienki, słysząc odgłosy dalszych poszukiwań. Frances gorączkowo walczy z bransoletką na swoim nadgarstku)* Doskonale rozumiem, dlaczego Tracy chciała być dzisiaj ujarana, musiała jakoś znieść tę ciężką próbę. Ale mogła przynajmniej zapytać. Tak po prostu sobie go wzięła! Cała ona. *(Frances odpina wreszcie bransoletkę i chowa ją z widoczną ulgą do pudełka na biżuterię)*

FRANCES: *(zrozumiała lekcję)* Nie będziesz pożądał rzeczy bliźniego swego.

MEREDITH: *(w łazience)* A ta cała jazda z posłuszeństwem, wszyscy tacy poważni, szczeka mi opadła, Tracy? Posłuszna Scottowi? Ona już teraz steruje życiem tego biedaka. Serio, przecież to jakieś jaja! Tracy, spłoniona panna młoda. Chyba zaraz puszcze pawia. *(krzyczy)* O mój Boże!

FRANCES: *(przerażona)* Co się stało? *(Meredith wychodzi z łazienki niosąc z nabożeństwem skręta)*

MEREDITH: Patrz, był w apteczce! No to możemy startować! *(bierze popielniczkę i siada na łóżku, marudna)* Cholera, dalej nie mamy zapalek! *(ktoś puka do drzwi, poirytowana)* Mamo, mówiłam ci, że masz nie wchodzić do mojego pokoju!

TRISHA: *(z offu)* Meredith?

MEREDITH: Trisha! *(zostawia skręta i popielniczkę na łóżku, podchodzi do drzwi i otwiera je. Na zewnątrz stoi Trisha, olśniewająca kobieta tuż po trzydziestce. Jest ubrana dokładnie tak samo jak Frances i Meredith, ale w przeciwieństwie do nich, świetnie nosi swoją sukienkę i porusza się w niej z gracją. Nosi stylową, ogromną torbę na ramie)*

TRISHA: *(radośnie)* Hej, kochana!

MEREDITH: Masz zapalki?

TRISHA: Mhm, chyba mam zapalniczkę.

MEREDITH: Bogu dzięki! Uratowałaś mi życie. *(Meredith wciąga ją do środka i podchodzi do łóżka. Trisha wchodzi i zamyka za sobą drzwi na klucz)*

TRISHA: *(przyjaźnie)* Dotarłabym wcześniej, ale jakiś oblech, z którym podobno mam kawałek wspólnej historii dopadł mnie na parkingu i tak nawijał, że mi uszy zwiedły, o tym jak to cudownie znów mnie widzieć i czy nie moglibyśmy niedługo znów się spotkać. Powiedziałam mu, że jasne i spytałam czy nie ma trzystu dolców, tylko po to, żeby się zamknął.

MEREDITH: Nie! A co on na to?

TRISHA: Spytał mnie, czy mogłabym na niego poczekać, a on w tym czasie poleciał do bankomatu, uwierzysz? *(przyjaźnie)* Hej, Frances!

FRANCES: Cześć.

TRISHA: Jak leci?

FRANCES: W porządku. Dzięki, że zapytałaś. *(Trisha podchodzi do toaletki)*

TRISHA: Aaa, Meredith, twoja matka mówiła, żebyś zeszła na dół przywitać gości, a ona się trochę ogarnie.

MEREDITH: Proszę cię, ta kobieta nie była ogarnięta od trzydziestu lat. Chyba, że łyknie parę Xanaxów, to może trochę.

TRISHA: Sama powinnam parę wziąć.

MEREDITH: Jak tylko odkopiesz tę zapalniczkę, to się upalimy.

TRISHA: Już nie pamiętam, kiedy byłam upalona. Przyrzeknij mi, że nie pozwolisz mi wykręcić żadnej głupoty, dobra?

MEREDITH: W życiu nie zrobiłabyś nic głupiego.

TRISHA: *(śmieje się)* Żartujesz? Na mszy gapiłam się na wiernych w kościele, wyszło mi że spałam chyba z połową facetów, którzy tam byli. Przeraża mnie to wesele. Jak myślisz, ktoś by zauważył, gdybym wyszła?

MEREDITH: Tak i nie waż się zostawiać mnie tu samej.

TRISHA: *(przeglądając się w lustrze toaletki)* Zobacz, jak ja wyglądam. Koszmar.

MEREDITH: Wyglądasz zajebiście, jak zawsze.

TRISHA: Dziś rano musiałam położyć chyba z pół kilo korektora pod oczy. *(wyciąga z torby kosmetyczkę, zaczyna sprawnie poprawiać makijaż. Pozostałe dwie kobiety ją obserwują, lekko onieśmiałe jej naturalnym autorytetem – ta kobieta wie, jak być piękną)* Jak tam Frances, podobał ci się ślub?

FRANCES: No, był taki piękny.

MEREDITH: Raczej idiotyczny.

FRANCES: Ale sukienka Tracy to było coś.

MEREDITH: Taa, wyglądała jak gigantyczny stół przykryty obrusem.

TRISHA: Trzeba jej było podać tę kieckę, a potem i tak idąc ją niosła. Nie byłabym w stanie iść w czymś takim z kamienną twarzą.

MEREDITH: Ona nie niosła sukienki, to sukienka niosła ją. Jeśli ma choć odrobinę rozumu, ubierze w nią manekina, przyniesie go na wesele, a sama wmisza się w tłum.

TRISHA: Wolę nie myśleć, ile kosztowała.

MEREDITH: Sześć.

TRISHA: *(odwraca się do niej)* Po prostu skandal.

FRANCES: Sześć w sensie sześćset dolarów?

MEREDITH: Sześć tysięcy.

TRISHA: Wymusiła na mnie, żebym zaprojektowała jej zaproszenia za darmo, kazała mi osiem razy wszystko zmieniać, a kupiła sobie sukienkę za sześć tysięcy? Cholerny skandal. Twój biedny ojciec pewnie wydał fortunę na to wesele.

MEREDITH: Nie wiem, czy wiesz, ale ojciec się zbuntował. Powiedział, że nie ma takiej opcji, żeby on zapłacił sześć kawałków za coś, co ona będzie miała na sobie tylko raz, więc musiała kupić ją sobie sama.

TRISHA: Wow. Chyba zarabia niezłą kasę w tym Pepsi.

MEREDITH: Chyba. Zaproponowała mi, że załatwi mi u nich rozmowę o pracę. Powiedziałam jej, że prędzej pójdę do pracy w McDonalddie. Całe życie byłam młodszą siostrzyczką Tracy Marlowe, ostatnią rzeczą której bym sobie życzyła, jest chodzenie do tej samej pracy, co ona. Trisha! Gdzie ta zapalniczka?

TRISHA: *(podaje jej swoją torebkę)* Gdzieś tutaj.

MEREDITH: Boże, co ty tu trzymasz?

TRISHA: Wyłącznie całe moje życie. *(Meredith zaczyna grzebać w torbie)*

MEREDITH: Mało nie umarłam, jak oboje klęknęli i zobaczyłam, że ktoś namalował Scottowi na podeszwach „RATUNKU!”.

FRANCES: O tak, to było okropne. Kto mógł zrobić coś tak wstrętnego? Ślub to święte wydarzenie.

MEREDITH: Ja uważam, że to było bezcenne.

TRISHA: Taa, zauważyłam, że uznałaś to za dość zabawne.

MEREDITH: To nie ja to namalowałam, jeśli to insynuujesz. I żałuję, że tego nie zrobiłam. Trisha! Wiesz, kto to zrobił? Kto? Powiedz.

TRISHA: Nie wiem.

MEREDITH: Łżesz.

TRISHA: Nie mam pojęcia, kto to był. To mógł być każdy z tych przerośniętych kolesi z bractwa.

MEREDITH: Szkoda, że nie wiem, który to był. Strzeliłabym mu lodzika. *(wyciąga harmonijkę prezerwatyw z torby Trishy)* Boże, jesteś pewna, że masz wystarczająco dużo kondomów?

TRISHA: Motto skauta: bądź przygotowany.

MEREDITH: To jest motto skautów. Chłopaków.

TRISHA: Hm, w takim razie motto dziewczyn - skautów to: bądź świetnie przygotowana, bo jest ryzyko, że chłopak - skaut to nieodpowiedzialny dupek. *(Meredith znajduje zapalniczkę, przypala sobie skręta. Zaciąga się głęboko)*

MEREDITH: *(wydmuchuje dym, śmieje się)* „Ratunku”.

FRANCES: Fuj! To śmierdzi.

TRISHA: Biedny Scott. Spiekł raka chyba w trzech odcieniach, nie? Chyba pomyślał, że robi coś złego.

MEREDITH: Bo zrobił. Ożenił się z moją siostrą, to najgorsza rzecz, jaką można zrobić. Boże, jak się cieszę, że znalazłam tego blanta.

TRISHA: Ja uważam, że Scott i Tracy idealnie do siebie pasują.

FRANCES: O tak, ja też.

TRISHA: Oboje są inteligentni, piękni, bogaci -

MEREDITH: Zupełnie biali.

FRANCES: I od razu widać, że on naprawdę ją kocha.

MEREDITH: Taa, każdy pies kocha swego pana.

TRISHA: Ej, Meredith, bądź miła.

MEREDITH: Nie bądź taką pensjonarką. Chcę się dzisiaj dobrze bawić. Marne szanse. Wszyscy tutaj są tak agresywnie normalni, to tak jakby prowadził śnięty śniętego. Miałam nadzieję, że siostra Scotta, lesbijka, rozrusza atmosferę, ale ona jest taka zabawna, jak ściąganie kamienia nazębnego.

FRANCES: *(zszokowana)* Siostra Scotta jest... jest... i wszyscy po prostu o tym wiedzą?

TRISHA: Chyba tak. *(do Meredith)* Ona się z tym nie kryje, nie?

MEREDITH: Boże, ona każdemu wciska to prosto w twarz.

FRANCES: O mój Boże, ja chyba nigdy wcześniej żadnej nie widziałam.

MEREDITH: No to teraz widziałas trzy.

FRANCES: Kogo jeszcze?

MEREDITH: Te dwie flecistki, które grały na ślubie.

FRANCES: Żartujesz.

MEREDITH: *(kręci głową)* Mm, mm.

FRANCES: Ale... One wyglądały zupełnie jak prawdziwe kobiety. To że grały w kościele, to nie jest przypadkiem jakieś świętokradztwo?

TRISHA: Nie wydaje mi się, żebyś powinna się o to martwić.

MEREDITH: Serio. Jak do tej pory to najbardziej cipowaty ślub, na jakim byłam w życiu. Łatwiej wyrwać coś na weselu. Chciałabym, żeby stało się coś naprawdę chorego i popieprzonego. *(Trisha, która skończyła poprawianie makijażu, podchodzi do Meredith i bierze od niej skręta)*

TRISHA: *(śmieje się)* Tobie czy komuś innemu?

MEREDITH: Wszystko jedno, mam to w dupie.

TRISHA: Hm, założę się, że nie będziesz zawiedziona.

MEREDITH: *(wyczuła brudy)* Dlaczego? Co się święci?

TRISHA: Nic.

MEREDITH: Gadaj.

TRISHA: *(proponuje Frances skręta)* Frances, chcesz trochę?

FRANCES: Nie, dziękuję. Nie biorę narkotyków. Jestem Chrześcijką.

TRISHA: Tak mi przykro.

MEREDITH: Chodzi o Georgeanne, tak?

TRISHA: Co?

MEREDITH: Widziałam jak płakała na ślubie.

TRISHA: No i co z tego? Dużo ludzi płacze na ślubach.

MEREDITH: Nie, to nie miało nic wspólnego ze ślubem. *(pauza)* Noo, Trisha, musisz mi powiedzieć.

TRISHA: Nie wiem, o co chodziło. I nie jesteśmy z Georgeanne tak blisko, jak kiedyś.

MEREDITH: *(nagle, zaskoczona)* Chodzi o Tommy'ego Valentine, tak? To wszystko przez to, że on dziś tu jest.

TRISHA: Szczerze wątpię.

FRANCES: Tommy Valentine. Cały dzień próbowałam sobie przypomnieć, jak on się nazywa.

MEREDITH: Georgeanne też z nim kręciła?

TRISHA: Ze sto lat temu.

MEREDITH: *(wzdycha)* Mój Boże, czy jest ktoś, kto z nim nie kręcił? *(pauza)* Jak się jest takim przystojnym facetem jak on, to chyba...

TRISHA: Wcale nie jest taki przystojny.

MEREDITH: Daj spokój, on jest absolutnie boski. Ten facet to chodzący seks. Gdyby tak nie było, dlaczego każda z was traciłaby przy nim głowę? I nie tylko...

TRISHA: Nigdy niczego przy nim nie straciłam.

MEREDITH: Jasne.

TRISHA: Serio.

FRANCES: Spotkałam go raz, kiedy Tracy wzięła go ze sobą na spotkanie rodzinne w domku nad jeziorem u Wujka Reece'a i Cioci Kitty. Był naprawdę miły.

MEREDITH: *(do Trishy)* Spójrz mi w oczy i powiedz mi, że między wami nic nie było.

TRISHA: Między nami nic nie było.

MEREDITH: Trisha.

TRISHA: Umówiliśmy się parę razy, zanim on i Tracy w ogóle się spotkali. Tak naprawdę to ja ich ze sobą poznałam.

MEREDITH: Wiem.

TRISHA: Skąd ty to wszystko wiesz? Byłaś wtedy małym dzieciakiem.

MEREDITH: Byłam małym bystrym dzieciakiem. Poza tym tak się składa, że jestem siostrą Tracy Długiego Jęzora.

TRISHA: W takim razie pewnie wiesz więcej ode mnie.

MEREDITH: Nie wiedziałam o Georgeanne i Tommym Valentine. *(Wchodzi Georgeanne, jest tuż po trzydziestce, ma na sobie taką samą sukienkę i kapelusz, jak reszta, niesie otwartą butelkę szampana. Jej kapelusz jest lekko przekrzywiony. Wpada z impetem przez drzwi, trzaska nimi, kopie w nie raz, a potem opiera się o nie, płacząc i nie zauważając, że ktoś poza nią jest w pokoju.)*

GEORGEANNE: *(ponownie kopiąc drzwi)* Ty dumny sukinsynu! *(wyciera nos w sukienkę i pociąga łyk z butelki szampana, potem odwraca się i widzi resztę. Niezręczna cisza.)* O, cześć wam.

TRISHA: Hej, kochana.

MEREDITH: *(słodko)* Hej, Georgeanne.

GEORGEANNE: Sorry. *(idzie do łazienki i trzaska za sobą drzwiami)*

MEREDITH: *(wstrząśnięta)* Uuaaa. *(Trisha podchodzi do okna i wygląda przez nie)*

TRISHA: Ale im się spieszy z tym rozstawianiem baru. Uwielbiam porządny otwarty bar. Jeśli zdarzy się, że pójde do nieba, a nie będzie tam otwartego baru, Bóg będzie musiał mi się gęsto tłumaczyć.

FRANCES: W niebie raczej nawet na pewno nie będzie alkoholu.

TRISHA: Dzięki Frances, że mi to rozjaśniłaś. W takim razie wezmę swój własny.

MEREDITH: *(szepem)* Tommy Valentine musiał coś powiedzieć Georgeanne, żeby doprowadzić ją do takiego stanu, co nie?

TRISHA: Czemu cię to w ogóle obchodzi?

MEREDITH: A może to jej mąż! Zauważyłam, że go tu nie ma, założę się, że ją zdradza!

TRISHA: Jezu.

MEREDITH: *(radośnie)* Założę się, że on ją zdradza, a ona właśnie się dowiedziała! Jak myślisz?

TRISHA: Myślę, że to nie twój zaszraniony interes. Jej życie to jej życie, a nie źródło twojej rozrywki. To żałosne.

MEREDITH: *(zraniona)* Boże, przepraszam.

TRISHA: Zdarzyło ci się przechodzić przez coś, czego nie miałaś ochoty ujawniać przed całym światem? Chyba nie.

MEREDITH: Powiedziałam przepraszam. Nie musisz mi dogryzać. *(pauza)*

TRISHA: Jestem nieco przewrażliwiona na tym punkcie, bo to ja jestem obecną królową kiepskiej reputacji.

MEREDITH: *(niezbyt szczerze)* Twoja reputacja jest w porządku.

TRISHA: Nie powinnaś kłamać, jeśli nie potrafisz tego robić ani odrobinę lepiej.

MEREDITH: Nigdy w życiu nie słyszałam, żeby ktokolwiek powiedział o tobie jedno złe słowo.

TRISHA: Twoja matka notorycznie wyrażała się o mnie per „ta mała dziwka”.

MEREDITH: Pogięło cię. Mama zawsze cię uwielbiała.

TRISHA: Twoja matka nienawidzi mnie do szpiku kości. Dalej mnie nienawidzi. Nawet teraz nie spojrzysz mi w oczy.

MEREDITH: Dlaczego miałyby cię nienawidzić?

TRISHA: Bo uważa, że miałam na Tracy najgorszy wpływ na świecie. I miałam. Ale to po prostu leży w ludzkiej naturze, żeby pobyć totalnym degeneratem od czasu do czasu. I powinno się mieć do tego prawo, a reszta nie powinna się gapić z pogardą i zachowywać tak, jakby się działo nie wiadomo co. *(wygląda przez okno)* O Boże. Tam jest kolczyk.

MEREDITH: *(dołącza do niej przy oknie)* Co?

TRISHA: Ten słodki chłopak z obsługi, z kolczykiem w uchu.

MEREDITH: Aa, ten. To kuzyn Scotta.

TRISHA: Jest niesamowity.

MEREDITH: Hm, tak myślisz?

TRISHA: Mhm.

FRANCES: *(pogodnie)* Wiesz, moja starsza siostra chodziła z chłopakiem, który miał kolczyk, ale Mama i Tata kazali jej z nim zerwać.

MEREDITH: Frances, twoja siostra jest dwa lata starsza ode mnie.

FRANCES: Naprawdę?

MEREDITH: I nadal pozwala rodzicom mówić, co ma robić? Nieźle pojechane.

FRANCES: *(zarumieniona)* W Biblii jest napisane: szanuj ojca swego i matkę swoją.

MEREDITH: W Biblii jest też o tym, że jedzenie skorupiaków jest obrzydliwością, co jakoś nie powstrzymało cię przed wciągnięciem zupy krabowej na przyjęciu zapoznawczym przed ślubem.

TRISHA: Jak on się nazywa?

MEREDITH: To Tripp Davenport, przecież wiesz. *(Trisha na nią patrzy)* Daj spokój, flirtował z tobą przez całe przyjęcie.

TRISHA: Owszem, ale nie powiedział mi, jak się nazywa.

MEREDITH: Tak naprawdę nazywa się Griffin Lyle Davenport Trzeci.

TRISHA: Myślę, że Tripp lepiej do niego pasuje. On ma takie spojrzenie, wiesz ` jakie.

MEREDITH: Jakie?

TRISHA: Takie, które sprawia, że czujesz się, jakbyś była na śmiertelnie nudnym przyjęciu, a tylko wy mielibyście dragi. To dokładnie samo spojrzenie, które ma Tommy Valentine.

MEREDITH: Będziesz musiała mi to pokazać.

TRISHA: O, nie. Wierz mi, lepiej żebyś wiała gdzie pieprz rośnie, nawet jeśli nigdy nie widziałas tego spojrzenia. Zawsze okazuje się, że więcej z tego problemów, niż to warte.

MEREDITH: Popatrz na nich, wszyscy w smokingach. Wyglądają jak stado wielkich... ptaków.

TRISHA: Gołębi. *(śmieje się)* Są tacy nadęci.

MEREDITH: Dlaczego faceci są tacy głupi?

TRISHA: Bo im się na to pozwala.

MEREDITH: Są tacy dziwni. Są tacy dziwni.

TRISHA: Którego chcesz?

MEREDITH: Jedyny z nich, który mnie nie obrzydza to Frank.

TRISHA: Frank? Serio?

MEREDITH: Wciąż pamiętam, w co był ubrany, jak przyszedł po Tracy, kiedy szli na bal walentynkowy w ósmej klasie. Miał biały garnitur, taki trochę w stylu Elvisa, w błękitne prążki, granatową koszulę i biały krawat. Biały pasek i białe buty z wielkimi srebrnymi sprzączkami. Uważałam, że jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałam.

TRISHA: Jest przystojny.

MEREDITH: On woli chłopców, nie?

TRISHA: No, wiesz...

MEREDITH: Wiedziałam. Co za strata.

TRISHA: Okropne, to co powiedziałaś.

MEREDITH: To miał być komplement.

TRISHA: Mówienie o kimś w ten sposób, to nie komplement. *(pauza)*

FRANCES: Billy.

TRISHA: Co?

FRANCES: To jego chęć.

TRISHA: Młodszego brata Scotta?

MEREDITH: Przecież on ma piętnaście lat.

FRANCES: Wiem.

TRISHA: Frances, jesteś niegrzeczna. Dzika z ciebie kobieta, co? *(wchodzi Georgeanne z łazienki)*

GEORGEANNE: Hej.

MEREDITH: Hej, Georgeanne.

TRISHA: Hej, kobieto. Wszystko gra?

GEORGEANNE: Nie, jestem totalnie porąbana. *(siada na brzegu łóżka, gapi się na resztę i zaczyna płakać. Pauza)*

MEREDITH: *(żądna sensacji)* Co się stało? Możesz nam powiedzieć. Nikomu nie powiemy, przysięgam.

TRISHA: Meredith.

MEREDITH: Może dobrze ci zrobi, jak o tym pogadasz.

TRISHA: Meredith, może byście poszły z Frances zobaczyć, czy wreszcie rozstawili ten bar?

MEREDITH: Może po prostu wyjrzyj przez okno? *(Trisha robi minę „spadajcie stąd”, Meredith odpowiada „dlaczego nie mogę zostać?”)* No dobra. Musicie tylko poczekać, aż zmienię buty. Nie mam zamiaru nosić tych brzoskwiniowych chińskich narzędzi tortur ani minuty dłużej. *(podchodzi do swojej szafy. Niezręczny moment)*

GEORGEANNE: Cześć, Frances.

FRANCES: Hej.

GEORGEANNE: Wiem, że się w ogóle nie znamy, ale przepraszam was, że musicie mnie oglądać w tym stanie.

FRANCES: Nie ma sprawy. Jezus też płakał. *(Meredith wraca, niosąc parę męskich adidasów, siada na łóżku i zakłada je)*

GEORGEANNE: Kojarzysz barmana, tego łysego? Jak z nim poflirtujesz, da ci butelkę szampana.

MEREDITH: Nie mogę tego zrobić.

FRANCES: Ja mogę. Ale wy będziecie musiały wypić tego szampana, bo...

MEREDITH: Bo jesteś Chrześcijką. Wiem. Jak wyglądam? *(patrzy w lustro)*
Koszmar.

TRISHA: Jest okej.

MEREDITH: Taa, jasne. *(łapie Frances)* Chodź, Frances.

FRANCES: *(słodko)* Na razie, pa pa!

MEREDITH: *(naśladując Frances)* Na razie, pa pa! *(Meredith i Frances wychodzą. Trisha zamyka za nimi drzwi, ale nie siada)*

TRISHA: Błagam cię, nie mów mi, że chodzi o Tommy'ego Valentine.
(zawstydzona Georgeanne kiwa głową)

GEORGEANNE: Szłam nawą w kościele i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, był tył jego głowy. Po prostu nagle wyskoczyła prosto na mnie. Poznałam tę linię włosów na szyi, tam gdzie zaczynają się włosy. Wiesz, tam gdzie się zbiegają w dwa punkty i są ciemniejsze niż reszta. Zawsze uważałam, że to takie seksowne. Potem popatrzyłam na niego podczas ślubu i to, w jaki sposób światło położyło się na jego twarzy... Przysięgam, to po prostu złamało mi serce. A potem na dworze zobaczyłam jak rozmawiał z tą szmatą w granatowej lnianej sukience z dekoltem z tyłu do samej... Serio, prawie było jej widać tyłek. I uśmiechał się do niej tym samym uśmiechem, który sprawiał, że czułam się tak, jakbym naprawdę coś dla niego znaczyła. A potem to wszystko wróciło, aż mnie wałnęło, te wszystkie lata, kiedy siedziałam, czekając aż zadzwoni, kiedy zmieniałam wszystko tak, żeby jemu było wygodnie. Wzięłam tę cholerną taksówkę do ginekologa tamtego dnia, bo było tak zimno, że samochód mi nie chciał zapalić. A później ta okropna, koszmarna noc, kiedy siedziałam pod jego blokiem i gapiałam się na wiśniowego chevroleta Tracy na podjeździe i chciałam umrzeć. Wiesz, zaczęłam palić w tamtą noc. I jeśli kiedyś umrę na raka, przysięgam, to będzie wina Tommy'ego Valentine. *(zapala papierosa i zaczyna chodzić w kółko, jest nieobecna, apatyczna)* Boże! Czuje, że wariuję! Mój kuzyn George jest pielęgniarzem i twierdzi, że mam spore szanse zachorować na jakąś dziwną chorobę, bo taka jestem emocjonalna.

TRISHA: Nie wariujesz. Po prostu dramatyzujesz i użalas się nad sobą.

GEORGEANNE: Użałam się nad sobą!?! Myślisz, że chcę się tak czuć?

TRISHA: Nikt cię do tego nie zmusza. *(pauza, Georgeanne gapi się na nią, potem pociąga łyk z butelki)*

GEORGEANNE: No dobra. O mnie wystarczy, pogadajmy o sukience. Dasz wiarę, że Tracy zmusiła nas do założenia tego czegoś?

TRISHA: Tak.

GEORGEANNE: Oczywiście nie mogę uwierzyć, że zaprosiła mnie na swój ślub...

TRISHA: A ja nie mogę uwierzyć, że przyjęłaś zaproszenie.

GEORGEANNE: Nie miałam wyboru. Niby co miałam powiedzieć? Tracy, nie sądzę, żebym mogła przyjść na twój ślub, bo pamiętasz jak miałam załamanie nerwowe na pierwszym roku studiów? To się stało, bo twój chłopak mnie zapylił i musiałam usunąć ciążę, a wszystko sama, bo on wtedy zabrał cię na imprezę do bractwa i od tamtej pory stosunki między nami są, powiedzmy, nieco napięte.

TRISHA: Gadałaś z nią kiedyś o tym?

GEORGEANNE: Nie, żadna z nas już nigdy do tego nie wracała. *(wygląda przez okno)* A teraz ona tu jest i bierze ślub ze Scottem McClure, najgorszymi flakami z olejem, jakie w życiu widziałam. Jasne, sama wyszłam za Chucka Darby'ego, czyli za drugie najgorsze flaki z olejem, jakie kiedykolwiek widziałam, bo wydawało mi się, że potrzebuję odrobiny stabilizacji. A do tego jest tu Tommy Valentine, który szykuje się, żeby zedrzeć tej kościstej dupie jej lnianą sukienkę bez pleców i przerznąć ją na wylot. Boże, jak ja bym chciała nią być.

TRISHA: *(zirytowana)* Proszę cię. Wcale byś nie chciała.

GEORGEANNE: Właśnie, że bym chciała. Mam na sobie cholernie niewygodną bieliznę z Victoria's Secret za ponad sto dolarów, którą kupiłam specjalnie po to, żeby on ją ze mnie zdarł.

TRISHA: *(gapi się na nią)* Ty naprawdę myślałaś, że prześpisz się dzisiaj z Tommym Valentine?

GEORGEANNE: No, serio, czemu nie? Pamiętasz stronę 67 z „Ojca Chrzestnego”?

TRISHA: Wydaje mi się, że twoje wspomnienia o nim mogą być nieco przesłodzone, ile to już minęło, dziesięć lat?

GEORGEANNE: Trzy miesiące.

TRISHA: Słucham? (*Georgeanne kiwa głową z poczuciem winy*) Gadaj mi tu wszystko, jak na spowiedzi. Ale już.

GEORGEANNE: Wpadłam na niego w tym podłym barze, w którym puszczały tylko muzykę z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nienawidzę takich miejsc, ale przynajmniej nie jestem tam najstarsza. Wydawał się naprawdę szczęśliwy, że mnie widzi, a potem zaczęliśmy flirtować, ale nie było w tym nic wulgarnego, to było naprawdę słodkie... (*Trisha się śmieje*) Mówię poważnie, naprawdę tak było.

TRISHA: Jestem tego absolutnie pewna.

GEORGEANNE: Nie wiesz, jak było!

TRISHA: Wiem. I co się potem stało?

GEORGEANNE: Posiedzieliśmy do zamknięcia, a on mnie spytał, czy nie chciałabym pójść gdzieś, gdzie moglibyśmy być sami. Powiedziałam mu: słuchaj, to nie jest dobry pomysł, mam męża, dziecko. I jak tylko to powiedziałam, było tak, jakbym już więcej nie musiała się o to martwić. Powiedziałam to, więc zniknęło, przestało przeszkadzać. A potem totalnie zwariowałam, skończyliśmy robiąc to na parkingu, na betonie, tuż za kontenerem na śmieci. (*pauza*)

TRISHA: (*pod wrażeniem*) Wow. Nieźle.

GEORGEANNE: Trisha, to był mój najlepszy seks w życiu. Już nigdy nie będę w stanie czuć smrodu śmieci i nie myśleć o tym. Jak widzisz, moje wspomnienia Tommy'ego są w miarę świeże i raczej dokładne, jak sądzę.

TRISHA: Taa, ale czy on po tym do ciebie zadzwonił?

GEORGEANNE: Nie.

TRISHA: Okej, no to mamy faceta, który miał gdzieś swoje zobowiązania wobec ciebie, zostawił cię zupełnie samą, kiedy miałaś aborcję. Po dziesięciu latach pieprzył cię na parkingu, a potem cię ignoruje. A ty nadal go chcesz.

GEORGEANNE: Nic nie mogę na to poradzić. Kocham go.

TRISHA: To nie jest miłość, to uzależnienie.

GEORGEANNE: No cóż, przykro mi, ale nie uprawiałam seksu od ponad roku. I nie miałabym nic przeciwko, gdyby zrobił się z tego nawyk.

TRISHA: Co?

GEORGEANNE: Chuck i ja nie śpimy już nawet w jednym łóżku. Śpi w pokoju gościnnym.

TRISHA: Dlaczego?

GEORGEANNE: Nie wiem.

TRISHA: Masz chyba jakiś pomysł. Musisz mieć.

GEORGEANNE: On się do mnie nie odzywa. Tak, jakby mnie tam w ogóle nie było. Powiedziałam Chuckowi o Tommym, następnego dnia. Popatrzył na mnie tylko z tą rybią miną i powiedział: „Nie musisz mi opowiadać o wszystkim, co robisz.” *(zaczyna płakać)*

TRISHA: *(poirytowana)* Georgeanne!

GEORGEANNE: Co ja mogę?

TRISHA: Zmusić Chucka, żeby z tobą porozmawiał. Pójść na terapię małżeńską.

GEORGEANNE: Nie.

TRISHA: Chcesz uratować swoje małżeństwo?

GEORGEANNE: Nie! Nie chcę! Po pierwsze, w ogóle nie powinnam była za niego wychodzić, sama to powiedziałaś. Nie kocham go. Ja go nawet nie lubię! *(nagle otwierają się drzwi, wchodzi Mindy. Jest atrakcyjną, smukłą kobietą, w wieku 35-39 lat. Jest ubrana dokładnie tak samo, jak reszta.)*

MINDY: Hej, wszystkim. Leci mi krew?

TRISHA: Z tego, co widzę, nie.

MINDY: *(idzie do lustra)* No to będzie. Czy ja mam po prostu taki dzień, że bez przerwy na wszystko wpadam? Przydarzyło wam się to? Zwykle jestem pełna wdzięku, ale w tej sukience jest coś takiego, że czuję się jak Yeti. Właśnie przywaliłam twarzą prosto w szafkę w kuchni, po prostu w nią weszłam. Tak, jakby w tej szafce był wielki magnes, a ja bym miała stalowy talerz w głowie. Bum! Pewnie będę potrzebowała szycia na chirurgii zanim to wesele się skończy. *(odwraca się do nich)* Jestem przerażona. Umieram ze strachu, że zrobię coś i zrujnuję to wesele, a Scott nigdy mi tego nie wybaczy. Tak jak wtedy puściłam pawia w samym środku jego przysięgi skautowskiej. Mój terapeuta uważa, że byłam zazdrosna, że nie mogę być w drużynie chłopaków, ale wydaje mi się, że nie o to chodziło. Przecież miałam dziewiętnaście lat. Myślę, że po prostu zjadłam kanapkę z nieświeżą sałatką z tuńczyka. *(zauważa, że Georgeanne płakała)* To nie jest właściwy moment, prawda? Bardzo przepraszam. Pójdę sobie. *(wychodzi, potrącając coś po drodze)* Widzicie? To jest właśnie to, o czym mówiłam. *(pauza)*

GEORGEANNE: Wszystkie są takie?

TRISHA: Kto?

GEORGEANNE: Wiesz kto. Lesbijki.

TRISHA: Jakie? Niezdarne?

GEORGEANNE: Ona jest po prostu taka... Sama nie wiem. Tępa. Wszystkie są takie?

TRISHA: Dlaczego mnie pytasz?

GEORGEANNE: *(wymijająco)* No bo... No, wiesz...

TRISHA: Nie, co?

GEORGEANNE: Nie byłaś... Chodzi o to, że słyszałam o tobie i... A zresztą, nieważne.

TRISHA: *(uśmiecha się)* Żadna ze znanych mi lesbijek nie była niezdarna. Mindy jest pierwsza.

GEORGEANNE: Ona jest taka dziwna.

TRISHA: Ja ją lubię.

GEORGEANNE: Ja też, chyba. Wydaje się, że totalnie nie znosi Tracy, a jeśli tak, nie może być taka do końca zła. *(Georgeanne podchodzi do toaletki, patrzy w lustro)* Boże. Spójrz na mnie. Jestem kompletnie żalosna. Po prostu nie chcę być sama. Czy ja żądam zbyt wiele? Ciągłe wierzę w małżeństwo. Naprawdę. *(Trisha śmieje się smutno)* Ty nie?

TRISHA: Jeśli mam być z tobą zupełnie szczerą, uważam, że kobieta która decyduje się na małżeństwo w dzisiejszych czasach, ma narąbane we łbie.

GEORGEANNE: Nie wierzysz w miłość?

TRISHA: *(odwraca się do niej)* Bez wątplenia wierzę w to, że trzeba mieć wzgląd na innych. I w szacunek. I absolutnie wierzę w seks, bo jest zdrowy i potrzebny. Ale miłość? Co to takiego? Tylu kolesi mówiło mi, że mnie kocha, ale żaden z nich niczego nie zmienił w moim życiu.

GEORGEANNE: Może nie spotkałaś tego właściwego.

TRISHA: Proszę cię. Spotkałam go więcej razy, niż mam ochotę przyznać.

GEORGEANNE: Może po prostu nie dałaś mu szansy.

TRISHA: Dawałam mu zbyt wiele szans.

GEORGEANNE: Daj spokój. Jak długi był twój najdłuższy związek, ile godzin trwał?

TRISHA: A po co w ogóle to przeciągać? W którymś momencie facet zacznie próbować kierować moim życiem, a jak nie, to będzie chciał, żebym mu matkowała.

GEORGEANNE: Nie wszyscy faceci są tacy.

TRISHA: Ja jak na razie nie spotkałam takiego, który nie jest. I szczerze wątpię, że to kiedykolwiek nastąpi.

GEORGEANNE: Serio?

TRISHA: No.

GEORGEANNE: Jak ty możesz tak żyć?

TRISHA: *(śmieje się)* Po pierwsze to nie jest taka straszna tragedia, po prostu jestem szczerą. *(pauza)*

GEORGEANNE: Może masz rację. Ja chyba jestem po prostu niepoprawną romantyczką, skazaną na wieczne rozczarowania w życiu. *(przy oknie)* O, jest tam. Leci, węszy za Panienką Granatowy Len. Boże. Zobacz, jak on idzie... mógłby włożyć jakieś gacie.

TRISHA: I co on z tego ma? Z tych tabunów kobiet, które miał. Czuje się bardziej spełniony? Mądrzejszy? A może zrobił się z tego zwyczajny nałóg?

GEORGEANNE: Przecież spałeś z równie wieloma facetami. Co z tego masz?

TRISHA: Nie spałam z aż tyloma facetami!

GEORGEANNE: A ilu miałeś?

TRISHA: Nie wiem. Ze stu?

GEORGEANNE: Stu!

TRISHA: Nie liczyłam.

(...)

www.rubi.pl